

Ligeia

Edgar Allan Poe



Księgarnia Polska B. Połonieckiego, Lwów, 1902

Pobrano z Wikiźródła dnia 18 lutego 2025

LIGEIA.



ie mogę w żaden sposób przypomnieć sobie, jak, kiedy, lub nawet gdzie poznałem po raz pierwszy panią Ligeję. Wiele lat od tego czasu upłynęło, a pamięć moja osłabła od wielu cierpień! Albo, być może, nie mogę teraz przypomnieć sobie szczegółów, ponieważ zaiste charakter mej ukochanej, jej rzadka uczoność, jej osobliwsza, spokojna piękność, wreszcie przejmująca i ujarzmiająca elokwencya jej muzycznego organu mowy, otworzyły jej drogę do mego serca w sposób tak ukradkowy, że nie spostrzegłem ich i nie znałem. Zdaje mi się atoli, że spotykałem ją najczęściej w jakimś starym domu, omurszałem mieście blisko Renu. Słyszałem niezawodnie z jej własnych ust o jej rodzinie: Nie ulega wątpliwości, że jest bardzo starożytna. Ligeja! Ligeja! Zagrzebany w studyach tego rodzaju, że mogły bardziej niż co innego przygłuszyć wrażenia zewnętrznego świata, jedynie przez Ligeję samą przywołuję przed oczy obraz tej, która więcej nie istnieje. A teraz, gdy piszę, przypomina mi się, że nigdy nie znałem *ojcowskiego nazwiska* tej, która była mą przyjaciółką i narzeczoną i która stała się współniczką mych studyów, a w końcu żoną moją. Była to

zabawka ze strony Ligei, czy też dowód siły mego afektu, że nigdy nie pytałem o ten punkt; albo czy to był raczej mój własny kaprys — dziko romantyczna ofiara na ołtarzu namiętnego oddania się? Sam fakt przypominam sobie tylko niedokładnie, cóż więc dziwnego, że zapomniałem okoliczności, które dały mu początek lub towarzyszyły mu? I jeżeli kiedykolwiek duch, który nazywamy *Romansem* — jeżeli kiedykolwiek ona, ta ponura i skrzydlata *Asztofet* bałwochwalczego Egiptu, przewodniczyła, jak wieść niesie nieszczęśliwym małżeństwom, to napewne przewodniczyła memu!

Jest atoli jeden cenny temat, co do którego pamięć mnie wcale nie zawodzi. Jest nim *osoba* Ligei. Była wyniosłej postawy, nieco smukła, a u schyłku dni nawet wychudła. Napróżnobymsi usiłował odmalować jej majestat, spokój jej zachowania się, niepojętą lekkość i elastyczność jej chodu. Zjawiała się i znikwała jak cień.

Wejście jej do mego zamkniętego gabinetu zdradzała jeno muzyka jej dźwięcznego niskiego głosu, gdy kładła swą marmurową dłoń na mem ramieniu. Żadna dziewczyna nie dorównała jej w piękności oblicza. Był to sen opiumowy, uszlachetniająca wizya, bardziej boska niż fantazyje, które unosiły się wokół sennych dusz cór z Welos. A jednak rysy jej nie miały tej regularności, którą nauczyliśmy się błędnie czcić w klasycznych rzeźbach pogan.

— Nie ma doskonałej piękności — powiada Bakon Lord Verulam, mówiąc o wszystkich formach i rodzajach

piękności, — bez pewnego *dziwactwa* proporcji. — Jednak chociaż widziałem, że rysy Ligei nie były klasycznie regularne, chociaż pojmowałem, że jej wdzięk był zaprawdę »doskonały« i czułem, że przenikało go wiele *dziwactwa*, to przecież napróżno starałem się wykryć tę nieregularność, określić moje własne pojęcie o tem »dziwnem«. Badałem rysy wysokiego i bladego czoła — było bez błędu; jak zimno brzmi to słowo zastosowane do majestatu tak boskiego! Skóra szła bowiem w zawody z najczystsza kością słoniową, szerokość i spokój uderzały, zarówno jak łagodne wzniesienia powyżej skroni; krucze, połyskujące, bujne i faliste sploty włosów zasługiwały w całej pełni na homerycki epitet »hijacentowe«. Patrzyłem na delikatne zarysy nosa, i nigdzie, chyba w medalionach Hebrajczyków, nie widziałem podobnej doskonałości. Była tam ta sama przepyszna gładkość powierzchni, ta sama ledwie dostrzegalna tendencja do orlego nosa, te same harmonijnie wykrojone nozdrza, znamionujące wolnego ducha. Rozważałem jej prześliczne usta. Tu był zaiste tryumf wszystkich rzeczy boskich, przepyszne zagięcie krótkiej wargi górnej, wielka namiętność dolnej, dołki, które drgały i kolory, które mówiły wiele i zęby odbijające ze zdumiewającym niemal połyskiem każdy promień świętego światła, który padał na nie podczas jej łagodnego i spokojnego uśmiechu. Badałem formację brody i tu, też znalazłem łagodne zaokrąglenie, miękki majestat, pełność i uduchowanie greckie — które bóg Apollo objawił tylko we śnie Cleomenesowi, synowi Ateńczyków. W końcu utonałem w ogromnych oczach Ligei.

Odległa starożytność nie daje nam wzorów oczu. Może być, że właśnie w oczach mej ukochanej tkwiła tajemnica, o której wspomina Lord Verulam. Były one o wiele większe od zwyczajnych oczu ludzkich. Były one pełniejsze nawet od najpełniejszych oczu gazelli z doliny Nourjahad. A jednak tylko w przerwach, tylko w chwilach silnego wyruszenia — osobliwość ta występowała u Ligei nieco wyraźniej. I w takich to chwilach piękność jej była — taką się przynajmniej wydawała w mojej rozpalonej wyobraźni — pięknością istot ponad- lub pozaziemskich — pięknością bajecznych hurysk Mahometa. Żrenice były najdoskonalej czarne, a pokrywały je też dżetowe rzęsy nadzwyczajnej długości. Brwi, lekko nieregularnie zarysowane, miały to samo zabarwienie. »Dziwactwo« atoli, które widziałem w oczach, było niezależne od kształtu, barwy, lub świetności rysów, i tkwiło niezawodnie w wyrazie. Ah! nic nie znaczące słowo! poza którego pustym dźwiękiem ukrywamy naszą nieświadomość rzeczy duchowych. Wyraz oczu Ligei! Jakże przez długie godziny rozmyślałem nad nim! Jakże starałem się w ciągu całej nocy letniej zbadać go! Czemże było to coś — głębszego od studni Demokrytusa — co spoczywało daleko w źrenicach mej ukochanej? Co to było takiego? Ogarnęła mnie namiętność odkrycia tego. O te oczy! te wielkie, te błyszczące, te boskie oczy! które stały się dla mnie bliźniaczami gwiazdami Ledy, a ja ich najwierniejszym badaczem astronomem.

Niema bodaj wśród wielu niepojętych anomalii w nauce o umyśle bardziej podniecającego faktu — nigdy, o ile

wiem, nie podnoszonego w szkołach — że w usiłowaniu przypomnienia sobie czegoś dawno zapomnianego, często już już mamy ją sobie przypomnieć, ale w końcu, rzecz się nam nie udaje. Jakże często wśród wytężonego badania oczu Ligei czułem zbliżające się zupełne zrozumienie jej wyrazu — czułem, jak się zbliża — a jednak nie mogłem go pochwycić — poczem znowu wymknęło mi się całkowicie! (A dziwna to, najdziwniejsza ze wszystkich tajemnic) znajdowałem w najpospolitszych przedmiotach analogię z tym wyrazem oczu Ligei. Rozumiem przez to, że po tem, kiedy piękność Ligei weszła w ducha mego, gdzie przebywała jak w świątyni, otrzymywałem od rzeczy w świecie materyalnym uczucie takie, jakiego doznawałem w sobie zawsze pod wpływem wielkich, błyszczących oczu. A jednak nie mniej nie byłem w stanie określić tego uczucia, zanalizować go, lub rozważać go nieustannie. Poznawałem je, jak powiadam, czasami przy oglądaniu szybko rosnącej latorośli, przy rozważaniu ćmy, motyla, kokonu, strumienia bieżącej wody. Czułem go w oceanie, w spadającym meteorze, w spojrzeniach niezwykle starych ludzi. Jest też kilka gwiazd w niebie (jedna zwłaszcza gwiazda szóstej wielkości, podwójna i migocąca, tuż obok wielkiej gwiazdy Liry), która przy badaniu teleskopowem budziła we mnie to samo uczucie. Napełniały mnie tem uczuciem nieraz pewne dźwięki instrumentów smyczkowych, a nierzadko pewne ustępy z książek. Wśród niezliczonej ilości przykładów, przypominam sobie coś w jednym z tomów Józefa Glanvill, co (może tylko wskutek swej dziwaczności — któż to wie?) zawsze napełniało mnie tem uczuciem: »I

tkwi w tem wola, która nigdy nie umiera. Któż zna tajniki woli razem z jej siłą? Gdyż Bóg jest tylko wielką wolą, przenikającą wszystkie rzeczy na podstawie swego natężenia. Człowiek nie poddaje się aniołom, ani też śmierci całkowitej, inaczej jak tylko przez niedostatek swej słabej woli.«

Długi szereg lat i nieustanna refleksja uzdolniły mnie zaiste do skreślenia odległego związku pomiędzy tym ustępem z angielskiego moralisty, a częścią charakteru Ligei. *Natężenie* myśli, czynu lub mowy, było w niej zapewne wynikiem, lub co najmniej wskaźnikiem tej olbrzymiej woli, która w ciągu naszego długiego stosunku nie dała innych lub bardziej bezpośrednich dowodów swego istnienia. Ze wszystkich kobiet, które kiedykolwiek znałem, ona, ten zewnętrzny spokój, ta wiecznie łagodna Ligea, była najgwałtowniejszą ofiarą krwawych sępów ponurej namiętności. A namiętności tej nie mogłem ocenić inaczej jak na podstawie rozszerzenia się tych oczu, które równocześnie taką przejmowały mnie rozkoszą i trwogą, jak na podstawie magicznej niemal melodyi, modulacji, wyrazistości i spokoju jej bardzo niskiego głosu, wreszcie na podstawie dzikiej energii (podwójnie skutecznej, wskutek przeciwieństwa do sposobu wyładowania) jej słów, które zwyczajnie wygłaszała.

Mówiłem o uczości Ligei, była ona olbrzymia, — takiej nigdy nie znałem u kobiety. Znała głęboko języki klasyczne, a, o ile sam posiadałem znajomość nowożytnych języków europejskich, nigdy nie chwyciłem jej na błędzie. Ale czyż kiedykolwiek schwyciłem Ligeię na błędzie, gdy

chodziło o tak podziwianą, bo najbardziej abstrakcyjną erudycję akademii. Jak szczególnie, jak przejmująco, ta jedna strona w naturze mojej żony, narzucała się w tym późnym czasie mojej uwadze! Wspomniałem, że wiedza jej była taka, jakiej nigdy nie spotkałem u kobiety, ale gdzież jest mężczyzna, który przeszedł pomyślnie wszystkie szerokie pola nauk moralnych, fizycznych, matematycznych? Nie widziałem wówczas tego, co dziś całkiem jasno pojmuję, że nabytki Ligei były olbrzymie, zdumiewające; a jednak posiadałem całkowitą świadomość jej nieskończonej wyższości do tego stopnia, aby powierzyć się z ufnością dziecka jej przewodnictwu przez chaotyczny świat metafizycznych badań, którymi zajmowałem się silnie w ciągu pierwszych lat naszego małżeństwa. Z jakimże olbrzymim tryumfem — z jak żywą rozkoszą — z jak wielką ilością wzniosłej nadziei, czułem, gdy pochylała się nademną w czasie mych studyów, dalekie krajobrazy, rozwijające się przedemną stopniowo, krajobrazy, po których pysznych i nietkniętych ścieżkach mogłem w końcu dążyć do wiedzy, zanadto cennej i boskiej nadto, aby nie była zakazaną!

Jakże więc ostrym musiał być smutek, gdy po latach, ujrzałem moje dobrze ugruntowane oczekiwania odlatujące precz odemnie. Bez Ligei byłem jak dziecko idące po omacku. Obecność jej, samo jej czytanie, oświecały żywo wiele tajników transcendentalizmu, w który pograżyliśmy się. Bez promieniującego blasku jej oczu, litery płonące i złote stawały się ciemniejsze od saturnowego ołowiu. Obecnie oczy te spoglądały, coraz rzadziej na stronie, nad

którymi ślęczałem. Ligeia zaczęła chorować. Dzikie oczy płonęły zanadto świetnym połyskiem, blade palce nabrały woskowej przejrzystości grobu; a niebieskie żyły na wyniosłym czole nabrzmiwały i opadały gwałtownie razem z ruchami delikatnej emocji. Widziałem, że musi umrzeć i walczyłem w duchu rozpaczliwie z okrutnym Azraelem. A zapasy mej namiętnej żony były ku memu zdziwieniu, jeszcze energiczniejsze od moich. Poważna jej natura napawała mnie wiarą, że dla niej śmierć przyjdzie bez zwykłych przykrości, ale omyliłem się. Słowa nie mogą wyrazić natężenia oporu, z jakim walczyła przeciw śmierci. Zacząłem jęczeć z bólu na ten politowania godny widok. Chciałem uspokajać; chciałem rozumować; ale w napięciu jej szalonego pragnienia życia — życia — i tylko życia — pociecha i rozum były zarówno całkowitym bezsenssem. A jednak nigdy przedtem, nawet wśród najbardziej konwulsyjnych ruchów jej dzielnego ducha, nigdy zewnętrzny spokój jej zachowania się nie został zakłócony. Głos jej złagodniał — zniżył się — ale nie życzę sobie zatrzymywać się nad znaczeniem spokojnie wygłaszanych słów. W głowie mi się mieszało, gdym słuchał, osłupiały, melodyi więcej niż śmiertelnej — przypuszczeniom i aspiracyom, których śmiertelni przedtem nie znali.

Nie wątpiłem, że mnie kochała; a łatwo mogłem przyjść do przekonania, że właśnie takim jak jej, miłość wzbudzi niezwykłą namiętność. Ale dopiero w śmierci poznałem pełnię siły jej afektu. Przez długie godziny, trzymając mnie za rękę, wylewała przedemną wezbrane morze serca, którego więcej niż namiętne oddanie się równało się

bałwochwalstwu. Czemże sobie zasłużyłem na błogosławieństwo takich wyznań!? Czem zasłużyłem sobie na klątwę utraty mej ukochanej w godzinie czynienia tych wyznań? Ale nad tem nie mogę się rozwodzić. Niech mi wolno będzie jeno powiedzieć, że w tem więcej niż kobiecem oddaniu się miłości ze strony Ligei, niestety! niczem niezasłużonem, poznałem w końcu pierwiastek jej pragnienia dalszego życia, które teraz tak prędko upływało. Tego oto silnego pragnienia — tego oto gwałtownego pożądania życia — życia tylko — nie mam siły odtworzyć — nie mam możności wyrazić.

Późno w nocy, której skoła, wzywając mnie stanowczo do swego boku, poleciła mi odczytać pewne wiersze, skomponowane przez nią samą na kilka dni przedtem. Byłem jej posłuszny. Gdym odczytał te wiersze, Ligeia krzyknęła »O Boże!« skoczyła na równe nogi i wyciągając ramiona przed siebie ruchem spazmatycznym, wołała — »O Boże! O Boski Ojcze! czyż to musi być los niezmienny? Czyż ten zwycięzca nigdy nie zostanie zwyciężony? czyż nie jesteśmy częścią samego Ciebie? Któż, któż to zna tajniki woli i jej siły? Człowiek nie poddaje się aniołom, ani też całkowitej śmierci inaczej jak tylko wskutek niedoskonałości swej słabej woli«.

Potem jakby wyczerpana wzruszeniem opuściła swe białe ramiona i wróciła uroczyście na łożo śmierci, a gdy wydawała swe ostatnie tchnienia zmieszał się z niemi niski mruk. Nachyliłem ucho ku jej wargom i rozpoznałem znowu końcowe słowa ustępu z Glanvilla: »Człowiek nie poddaje się aniołom, ani też całkowitej śmierci, jak wskutek

niedoskonałości swej słabej woli».

Umarła, a ja zmartwieniem na proch zmiażdżony, nie mogłem dłużej znieść samotnego opustoszenia mego domu, w starym i rozpadającym się mieście nad Renem. Nie brakło mi tego, co świat nazywa bogactwem. Ligeia wniosła mi o wiele więcej niż zwykle staje się udziałem śmiertelnych. To też po kilku miesiącach nudnej i bezcelowej włóczęgi, kupiłem i kazałem odnowić opactwo, którego nazwy nie wymienię, w jednej z najdzikszych i najmniej uczęszczanych części pięknej Anglii. Ponura wspaniałość budynku, prawie dzikie wejście całości, wiele melancholicznych i szacownych wspomnień związanych z miejscowością, miały wiele wspólnego z uczuciami zupełnego opuszczenia, które wpędziło mnie w tę odległą i nietowarzystką okolicę kraju. Chociaż na zewnątrz opactwo, otoczone zielonością, niewielkiej podległo zmianie, wewnątrz z dziecinną przewrotnością, a może i w nadziei przyniesienia ulgi memu cierpieniu puściłem wodze więcej niż królewskiemu przepychowi. Do takich szaleństw nabrałem smaku już w dzieciństwie, a teraz paroksyzm powtórzył się jakby wskutek osłabienia z żalu. Czuję jak sporo poczynającego się obłąkania można było spostrzedz w tych pysznych i fantastycznych draperyach, w wzorzystych rzeźbach egipskich, w dzikich korniszach i meblach, we wzorach dywanów przetykanych złotem! Stałem się niewolnikiem więzów opiumowych, a prace moje i rozkazy brały charakter od tych snów. Ale nie będę opisywał szczegółowo tych absurdów. Opowiem tylko o tym jednym pokoju, na zawsze przeklętym, dokąd w

chwili umysłowego zboczenia poprowadziłem od ołtarza jako swoją oblubienicę, jako następczynię nigdy nie zapomnianej Ligei, jasno-włosą i niebieskooką Lady Rowenę Trerunion z Tremaine.

Nie ma części architektury lub dekoracji tego pokoju, którejbym teraz nie widział przed oczami. Gdzie były dusze dumnej rodziny oblubienicy, kiedy przez chciwość złota pozwolono przejść przez próg apartamentu tak ozdobionego dziewczicy i córce tak ukochanej? Powiadam, że drobiazgowo przypominam sobie szczegóły pokoju, a jednak zapominam rzeczy głębszego znaczenia, które ulotniły się z mej pamięci. Izba leżała w wysokiej wieży zamczystego opactwa, miała kształt pięcioboku i była obszerna. Cały południowy bok zajmowało okno, duża tafla weneckiego szkła, jedna pojedyncza szyba, zabarwiona ołowiowo tak, że przechodzące przez nią promienie czy to słońca, czy księżycy padały z ponurym blaskiem na przedmioty wewnątrz znajdujące się. Ponad górną częścią tego olbrzymiego okna rozciągała się drewniana krata ze starą winną latoroślą, która pięła się na masywny mur wieży. Sufit z ciemnego dębu, był nadzwyczaj wyniosły, sklepiony, starannie ozdobiony najdzikszymi i najbardziej groteskowymi okazami nawpół gotyckiej i nawpół druidycznej sztuki. Ze środkowego zagłębienia tego melancholijnego sklepienia zwisała na pojedynczym łańcuchu złotym o długich ogniwach olbrzymia kadzielnica z tego samego metalu, wyrobu saraceńskiego i z wielu otworami tak zrobionymi, że ustawicznie wydobywały się przez nie, jakby węzowe sploty, różnobarwne ognie.

Kilka otoman i złotych kandelabrow wschodniego kształtu, stały w różnych miejscach; a była też i sofa, małżeńska sofa, na wzór indyjski, niska wytłoczona z hebanu, nakryta baldachimem. W każdym z rogów pokoju stał na głowie olbrzymi sarkofag z czarnego granitu, z grobów królewskich z Luxoru. Ale w draperyach pokoju tkwiła główna fantazyja. Wysokie ściany, nieproporcjonalnie wysokie, były zakryte od góry do dołu licznymi fałdami ciężkiej materji, która zarówno stanowiła dywan na podłodze, jakoteż pokrycie ottoman i hebanowego łoża, baldachim nad łożem, wreszcie wspaniałe zwoje firanek, zasłaniających częściowo okno. Materja była bogato przetykana złotem i upstrzona w nieregularnych odstępach arabeskami blisko stopowemi w średnicy, a rzuconemi czarną barwą. Ale figury te wtedy tylko miały postać arabesek, gdy się na nie patrzyło ze specjalnego punktu. W sposób dzisiaj powszechny, a datujący od dawna, dano im zmienne wejrzenie. Wchodzącemu do pokoju przedstawiały się jak zwykłe monstra, ale po zbliżeniu się traciły stopniowo ten charakter i krok za krokiem, w miarę posuwania się w głąb pokoju, gość widział się otoczonym nieskończoną procesją przerażających postaci, zrodzonych w przesądach normanów, lub w grzesznych snach mnichów. Fantasmagoryczny efekt podnosiło znacznie sztuczne wprowadzanie nieustannego silnego prądu powietrznego poza draperye, co nadawało całości pozory straszego ożywienia.

W salach tej podobnym takich jak ta małżeńskich izbach,

spędziłem z Lady Tremaine nie poświęcone godziny pierwszego miesiąca naszego małżeństwa i to bez zaniepokojenia, że moja żona obawiała się kapryśności mego temperamentu, że unikała mnie, że nie kochała mnie bardzo, tego nie mogłem nie widzieć, ale to mi raczej sprawiało przyjemność, niżeli inne uczucie. Miałem do niej wstręt i nienawidziłem ją z siłą demona raczej niż człowieka. Pamięć moja wracała (oh! z jakimże żalem) do Ligei, kochanej, wzniosłej, pięknej, pogrzebanej. Rozkoszowałem się wspomnieniami jej czystości, mądrości, wzniosłej, eterycznej natury, namiętnej i bałwochwalczej miłości. Teraz duch mój płonął całkowicie i swobodnie więcej niż wszystkimi jej ogniami. W podnieceniu mych snów opiumowych (gdyż oddawałem się stale nałogowi) wołałem głośno jej imię wśród ciszy nocnej, albo w dzień wśród cienistych ustroni, jak gdybym upajającym pragnieniem zmarłej mógł przywrócić ją na ścieżkę, którą odeszła, jakoteż na samą ziemię.

Niemal w początkach drugiego miesiąca małżeństwa Lady Rowena podległa nagłemu atakowi choroby, z której wolno do siebie przychodziła. Pożerająca gorączka niepokoiła ją po nocach: w zakłóconym stanie pół-snu mówiła o dźwiękach i poruszeniach wewnątrz i wokół pokoju wieżowego, które, mojem zdaniem, brały początek w jej podnieconej fantazyi, lub też w fantasmagoryjnym wpływie samegoż pokoju. Potem stała się rekonwalescentką, wreszcie wyzdrowiała zupełnie. Ale po krótkiej przerwie drugi gwałtowniejszy jeszcze atak powalił ją na łożo boleści; z tego ataku zawsze słabo zbudowana

nigdy już nie przysłała zupełnie do siebie. Choroby jej były po tej epoce charakteru bardzo niebezpiecznego i powracały w sposób niepokojący, który kpił sobie zarówno z wiedzy, jak i z wysiłków jej lekarzy. Z rozwojem chronicznej choroby, która wyraźnie za mocno zakorzeniła się w jej organizmie, aby ludzkie środki mogły ją usunąć; zauważyłem proporcjonalny wzrost w nerwowem podrażnieniu jej temperamentu i w jej wrażliwości na drobne przyczyny strachu. Mówiła znowu i to nietylko częściej, ale i uporczywiej, o szmerach — o lekkich szmerach — i o niezwykłych ruchach w pośród fałd materyi.

Pewnej nocy ku końcowi września, narzucała mej uwadze ten przykry stan rzeczy ze zwiększoną emfazą. Tylko co zbudziła się z niespokojnego snu, a ja przyglądałem się nawpół z uczuciem troski, nawpół z nieokreśloną trwogą wyrazowi jej oblicza. Siedziałem u boku jej hebanowego łoża, na jednej z indyjskich ottoman. Podniosła się częściowo, i mówiła cichym szeptem o szmerach, które właśnie *wtedy* słyszała, których atoli ja słyszeć nie mogłem — o ruchach, które ona *wtedy* właśnie widziała, a których ja ujrzeć nie mogłem, wiatr przebiegał poza materyą i chciałem pokazać jej (w co sam wierzyć nie mogłem), że te prawie nieartykułowane oddechy i te bardzo delikatne zmiany postaci na ścianie, były zwykłymi skutkami powiewu wiatru. Ale śmiertelna bladeść, pokrywająca jej twarz, dowodziła, że usiłowania moje uspokojenia jej, byłyby bezowocne. Zdawała się mdleć, a w pokoju nie było służby. Pamiętałem, gdzie stała karafka

lekkiego wina, przepisanego przez lekarza, i pospieszyłem, aby je przynieść. Ale gdym przechodził pod światłem kadzielnicy, dwie dziwne okoliczności zwróciły moją uwagę. Czułem, że jakiś dotykalny, jakkolwiek niewidzialny przedmiot przesunął się koło mnie; i widziałem, że na złotym dywanie leżał w samym środku blasku, rzucanego przez kadzielnicę cień — delikatny, nieokreślony, anielski cień — taki, jaki możnaby wziąć za cień cienia. Ale byłem pod wpływem nieumiarkowanej dawki opium, i nie wiele zwracałem uwagi na te rzeczy, ani też nie wspomniałem o nich Rowenie. Znalazłszy wino, powróciłem do łóżka, i nalałem pełny puhar i ten podsunąłem do ust mdlejącej kobiety, która częściowo przysła do siebie, ujęła sama naczynie, ja zaś upadłem na pobliską ottomanę, wlepiając w nią oczy. Wtedy to poczułem delikatne stąpienie na dywanie w pobliżu kanapy; w chwilę potem, gdy Rowena właśnie wznosiła wino do ust, widziałem, albo zdawało mi się, że widziałem, jak gdyby z jakiegoś niewidzialnego źródła w pokoju wpadły do puharu trzy czy cztery wielkie krople błyszczącego, rubinowego płynu. Jeżeli ja to widziałem — Rowena nie widziała. Połknęła wino bez wahania, a ja zataiłem przed nią okoliczność, która musiała być (po bliższej rozwadze) jeno wytworem żywej imaginacji, chorobliwie wrażliwej, wskutek przestradchu żony, dużej dawki opium i późnej godziny.

Mimo to nie mogę ukryć tego sam przed sobą, że bezpośrednio po wpadnięciu rubinowych kropli do wina nastąpiło nagle pogorszenie w stanie mojej żony, tak, że

trzeciej nocy ręce służby przygotowywały ją do grobu, a czwartej siedziałem sam z jej otulonym ciałem w tym fantastycznym pokoju, który witał w niej moją oblubienicę. Dzikie wizje, wywołane przez opium, przesuwały się przedemną jak cienie. Spoglądałem niespokojnym okiem na sarkofagi w rogach pokoju, na zmienne postaci draperyi i na wicie się różnobarwnych ogni w kadzielnicy. Kiedym zaś sobie przypomniał okoliczności poprzedniej nocy, oczy moje padły na miejsce pod kadzielnicą, gdzie widziałem słabe ślady cienia. Teraz go tam jednakże nie było; oddechając swobodniej zwróciłem wzrok na bladą, sztywną postać na łóżku. Wtedy obudziło się we mnie tysiąc wspomnień Ligei, a wtedy ozwała się w mem sercu z gwałtownością wezbranej wody cała żałość, z jaką patrzyłem kiedyś na nią tak spowitą. Noc uchodziła; a jeszcze z pierśiami, pełnymi gorzkich myśli o tej jedynej tak mocno ukochanej, wpatrywałem się w ciało Roweny.

Mogła to być północ, albo wcześniej nawet, może później, bo nie zważałem na czas, gdy łkanie ciche, delikatne, ale bardzo wyraźne, obudziło mnie z mych marzeń. *Czułem*, że wyszło z hebanowego łóżka — łoża śmierci. Nasłuchiwałem w agonii przesądnej trwogi — ale dźwięk się nie powtórzył. Wyteżyłem wzrok, aby odkryć jakiś ruch u nieboszczki, ale nie mogłem dostrzedz najślabszego. A jednakże nie mogłem uleść złudzeniu. *Słyszałem* głos, jakkolwiek słaby i dusza zbudziła się we mnie. Rezolutnie i uporczywie zwracałem uwagę na ciało. Wiele minut upłynęło nim zaszła okoliczność, rzucająca światło na tę tajemnicę. Nareszcie było rzeczą jasną, że

lekkie, bardzo słabe, ledwie dostrzegalne zarumienienie pojawiło się na policzkach i wzdłuż zapadłych żył powiek. Wskutek niewypowiedzianego przerażenia, dla którego język śmiertelników nie ma dość silnego wyrażenia, poczułem, że serce we mnie bić przestało, że członki moje sztywniały. Ale w końcu poczucie obowiązku oprzytomniło mnie, nie mogłem dłużej wątpić, że pospieszyliśmy się zanadto w naszych przygotowaniach, — że Rowena jeszcze żyła. Należało dać jej natychmiastową pomoc, ale wieża była daleko od części opactwa, zajętego przez służbę — nie miałem sposobu przywołania kogokolwiek bez opuszczenia pokoju na wiele minut — a na to nie mogłem się odważyć. Zacząłem więc sam usiłowania w celu przywołania z powrotem unoszącego się jeszcze ducha. W krótkim przeciągu czasu było rzeczą pewną, że nastąpiło pogorszenie; zabarwienie zniknęło tak z powiek, jak z policzków, zostawiając po sobie bladość więcej niż marmurową; usta pokurczyły się jeszcze mocniej i przybrały wyraz śmierci; wstrętne wilgoć i zimno rozlały się pospiesznie po powierzchni ciała; bezpośrednio zaś potem wystąpiła zwyczajna sztywność. Upadłem z drżeniem na sofę, z której tak niedawno się porwałem i znowu oddawałem się snom na jawie, których przedmiotem była Ligeia.

Tak upłynęła godzina, gdy (czyż to możliwe?) usłyszałem poraz drugi jakiś niewyraźny szmer wychodzący z okolicy łóżka. Słuchałem w najwyższym przerażeniu. Szmer powtórzył się — było to westchnienie. Biegając do trupa ujrzałem — wyraźnie ujrzałem — drżenie

warg. W chwilę potem rozwarły się, ukazując jasną linię perlistych zębów, zdziwienie walczyło obecnie w mej piersi z głębokiem przerażeniem; czułem, że wzrok mi się zaćmiewał, że rozum mnie opuszczał; i tylko dzięki gwałtownemu wysiłkowi nakłoniłem się nareszcie do spełnienia obowiązku. Czoło, policzki i szyja zapłonęły częściowo; wyczuwalne ciepło przenikało całe ciało; serce okazywało nawet słabą pulsacyę. Lady żyła, ze zdwojonym zapałem zabrałem się do cucenia. Tarłem i zwilżałem skronie i ręce, używając wszystkiego, co doświadczenie i odczytanie się w dziełach medycznych podsuwało mi. Ale nadarmo. Nagle rumieniec pierzchnął, puls ustał, usta przybrały wyraz śmierci i w chwili potem, całe ciało zlodowaciało, przybierając sine zabarwienie, mocną sztywność, zapadłość rysów i wszystkie wstrętne cechy zmarłego już od kilku dni.

Znowu więc oddałem się marzeniu o Ligei i znowu (czyż dziwna, że drzę pisząc to?) — *znowu* doszło mych uszu delikatne łkanie od strony hebanowego łoża. Ale pocóż mam opisywać szczegółowo niewypowiedziane przejścia tej nocy? Pocóż mam opowiadać jakto raz po raz prawie, aż do szarego świtu, okropny dramat odżywiania się powtarzał, jak za każdym razem następowało wyraźne pogorszenie się; jak przebieg sprawy miał pozory walki z niewidzialnym wrogiem i jak każda walka poprzedzała dziwną zmianę w trupie? Lepiej doprowadzić rzecz do końca.

Większa część strasznej nocy upłynęła, a ta co była nieżywa, poruszyła się raz jeszcze tym razem silniej, niż poprzednio, chociaż znajdowała się w rozkładzie

silniejszym, od poprzednich. Dawno ustaleń walczyć lub poruszać się i siedziałem sztywny na ottomanie, jak bezbronna ofiara wiru gwałtownych emocji, wśród których najważniejszą może było nadzwyczajne przerażenie. Trup, powtarzam, poruszył się i to silniej niż poprzednio. Barwy życia zakwitły w twarzy z niezwykłą energią — członki zmiękły — i z wyjątkiem tego, że powieki były jeszcze mocno zaciśnięte i że bandaż dawał ciału grobowe pozory, mogłem myśleć, że Rowena zrzuciła z siebie całkowicie więzy śmierci. Ale jeżeli idea ta nie była nawet wtedy całkiem odpowiednia, nie mogłem dłużej wątpić gdy podnosząc się z łóżka, chwiejnym krokiem, z zamkniętymi oczami i jakby w śnie pogrążona, zaczęła wyraźnie posuwać się na środek pokoju.

Nie drżałem, nie ruszałem się, — gdyż mnóstwo nieopisanych wspomnień, związanych z wejrzeniem, z postawą, z całym wzięciem się postaci, przebiegające przez mój mózg sparaliżowało mnie i zamieniło w kamień. Nie ruszałem się — lecz wpatrywałem się w zjawisko. Szalony bezład opanował moje myśli — bezład niepokonany. Czyż mogła to być istotnie *żyjąca* Rowena, która stała przedemną? Czyż mogła to być *wogóle* Rowena — jasnowłosa, niebiesko-oka Lady Rowena Trewanion z Tremaine? Czemuż miałbym wątpić.

Bandaż zaciskał szczelnie usta — ale czyż nie mogły to być usta oddechającej Lady z Tremaine? A policzki — były różowe jak w pełni życia tak, to mogły być zaiste piękne policzki żywej Lady z Tremaine. A broda z dołkami jak w zdrowiu, czyż nie mogła być jej? — *ale czyż wyrosła od*

*czasu swej choroby? Jakaż to szalona myśl opanowała mnie? Jednym skokiem byłem u jej stóp! Usuwając się przed mem dotknięciem, zrzuciła z głowy wstrętne powijaki grobowe i wtedy spłynęły po ramionach olbrzymie sploty rozpuszczonych włosów; były one czarniejsze od skrzydeł nocy!. Teraz otworzyły się z wolna oczy stojącej przedemną postaci. »Nakoniec więc«, zawołałem głośno, »czyż się nie mylę — wszak to pełne, czarne, dzikie oczy — mej utraconej miłości, oczy Lady — *Lady Ligei!**



Tekst jest [własnością publiczną](#) (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: [Edgar Allan Poe](#) i tłumacza: [Wojciech Szukiewicz](#).

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej [Wikiźródła](#)^[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: [Ligeia](#)

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 3.0 Polska](#)^[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy.

[Przyłącz się do nas!](#)^[3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na [tej stronie](#)^[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Piotr433
- AkBot2
- Joanna Le
- Wydarty
- Wolan
- Wieralee
- Rocket000
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR

1. [↑](https://pl.wikisource.org) https://pl.wikisource.org

2. [↑](http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl) http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl

3. [↑](https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kraki)
https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kraki
4. [↑](http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium)
http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium